

I. SYGNAŁY
(Teresa, Andrzej)

1.

TERESA

Andrzej wybrał mnie i poprosił o moją rękę.
Stało się to dziś między godziną piątą a szóstą po południu.
Dokładnie nie pamiętam, nie zdążyłam spojrzeć na zegarek
ani też dostrzec godziny na wieży starego ratusza.
W takich momentach nie sprawdza się godziny,
momenty takie wyrastają w człowieku ponad czas.
Ale nawet gdybym pamiętała, że trzeba spojrzeć na zegar ratusza,
Nie mogłabym tego uczynić, musiałabym bowiem
Patrzeć ponad głową Andrzeja.
Szliśmy właśnie prawą stroną rynku, gdy Andrzej odwrócił się i rzekł:
„czy chcesz być moją towarzyszką życia?”
Tak powiedział. Nie powiedział: czy zechcesz być moją żoną,
ale: moją towarzyszką życia.
Było więc przemyślane to, co zamierzał powiedzieć.
Mówił to zaś patrząc przed siebie, jakby się lękał wówczas
czytać w moich oczach, a równocześnie jakby chciał zaznaczyć,
że przed nami jest jakaś droga, której kresu nie widać
jest lub przynajmniej może być, jeśli na jego prośbę ja odpowiem „tak”.

Odpowiedziałam „tak” – nie od razu,
ale po upływie kilku minut,
a jednak nie mogło być w ciągu tych minut żadnej refleksji,
nie mogło też być żadnej walki motywów.
Odpowiedź więc była prawie że zdeteminowana.
Wiedzieliśmy oboje, że sięga w całą przeszłość
i wychyla się w przyszłość daleko,
że zanurza się w naszym istnieniu jak czołno tkackie,
aby uchwycić ten główny wątek, co decyduje o wzorze tkaniny.
Pamiętam, że Andrzej nie od razu zwrócił ku mnie wzrok,
ale dość długo patrzył przed siebie, jakby wpatrywał się
w tę drogę, która jest przed nami.

ANDRZEJ

Doszedłem do Teresy drogą dosyć długą, nie odnalazłem jej od razu.
Nie pamiętam nawet, czy pierwszemu naszemu spotkaniu
towarzyszyło jakieś przecucie lub coś w tym rodzaju.
I chyba nawet nie wiem, co znaczy „miłość z pierwszego wejrzenia”.
Po pewnym czasie stwierdziłem, że znalazła się w polu mojej uwagi,
to znaczy, że musiałem nią się interesować,
i równocześnie godziłem się na to, że muszę.
Mogłem wprawdzie nie postępować tak, jak czułem, że muszę,
lecz sądziłem, że nie miało by to sensu.
Widocznie coś było w Teresie, co odpowiadało mej osobowości.

Myślałem wówczas wiele o „drugim ja”.
Teresa była przecież całym światem, tak samo odległym,
jak każdy inny człowiek, jak każda inna kobieta
– a jednak coś pozwalało myśleć o przerwaniu pomostu.

Pozwalałem tej myśli trwać, a nawet rozwijać się we mnie.
Nie było to pozwolenie nie zależne od aktu woli.
Nie poddawałem się tylko wrażeniu i urokowi zmysłów,
bo wiem, że wówczas naprawdę nie wyszedłbym z mego „ja”
i nie dotarł do drugiej osoby – ale tu był właśnie wysiłek.
Bo przecież moje zmysły karmiły się co krok
wdziękiem napotykanym kobiet.
Gdy kilka razy próbowałem za nimi pójść,
spotykałem wyspy odludne.
Pomyślałem też wówczas, że piękność dostępna dla zmysłów
może być darem trudnym lub niebezpiecznym,
spotykałem wszakże osoby, które ona wiodła do cudzej krzywdy
– i tak powoli nauczyłem się cenić piękność
dostępną dla umysłu, czyli prawdę.
Postanowiłem więc szukać kobiety, która naprawdę będzie
dla mego „drugim ja”, a pomost między nami rzucony
nie będzie chwiejną kładką wśród nenufarów i trzciny.
Spotkałem kilka dziewcząt, które zaabsorbowały mą wyobraźnię,

a także moją myśl – i oto w momentach,
w których najbardziej zdawałem się sobie nimi zajęty,
stwierdzałem nagle, że Teresa wciąż tkwi w mej świadomości i pamięci,
a każdą z tamtych z nią odruchowo porównuję.
A przecież nawet pragnąłem, by ją wyparły z mej świadomości,
poniekąd liczyłem na to.
I gotów byłem też iść za wrażeniem, za wrażeniem natarczywym i mocnym.
Miłość uważać chciałem za namiętność
i za uczucie, które przewyższy wszystko
– wierzyłem w absolut uczucia.
I dlatego nie mogłem wprost pojąć,
na czym opiera się to przedziwne trwanie Teresy we mnie,
dzięki czemu jest we mnie obecna,
co jej zapewnia miejsce w moim „ja”,
i co stwarza wokół niej ten jakiś
dziwny rezonans, to „powinieneś”.
Unikałem jej przeto przezornie, omijałem wręcz z premedytacją
to, co mogłoby wzbudzić bodaj cień domysłu.
Czasem aż znęcałem się nad nią w moich myślach,
równocześnie zaś w niej widziałem mą prześladowczynię.
Wydawało mi się, że ściga mnie swoją miłością,
a ja muszę odciąć się stanowczo.
Tak zaś rosło me zainteresowanie dla Teresy,
miłość wyrastała poniekąd ze sprzeciwu.
Miłość może być bowiem zderzeniem,
w którym dwie osobowości uświadamiają sobie do głębi,
że powinny do siebie należeć, chociaż brak nastrojów i wrażeń.
Jest to jeden z tych procesów we wszechświecie, co sprowadzają syntezę
i jednoczą to, co rozdzielone, a co ciasne i ograniczone, to rozszerzają i bogacą.

TERESA

Muszę przyznać, że oświadczyły Andrzeja
były dla mnie czymś nieoczekiwanym.
Nie miałam zaprawdę powodu, by na nie liczyć.
Zdawało mi się zawsze, że Andrzej czyni wszystko,
abym była mu niepotrzebna i by mnie o tym przekonać.
Jeżeli te oświadczyły nie zastały mnie całkiem nie przygotowaną,
to dlatego, że czułam, iż jakoś jestem dla niego,
i że chyba mogłabym go kochać.
Chyba nawet tą świadomością już go kochałam.
Ale tylko tyle.
Nie dopuściłam nigdy do tego, aby nosić w sobie uczucie,
które zostanie bez odpowiedzi.
Dziś jednak mogę się przyznać sama przed sobą,
i nie było to dla mnie łatwe.

Pamiętam zwłaszcza taki jeden miesiąc,
w tym miesiącu jeden taki wieczór –
wędrowaliśmy wówczas po górach,
towarzystwo było liczne i bardzo z sobą zżyte,
bardziej chyba niż po koleżeńsku –
zrozumieliśmy się doskonale.
Andrzej wówczas dosyć wyraźnie interesował się Krystyną.
Nie psuło mi to jednak uroku wędrowki.
Zawsze bowiem byłam twarda jak drzewo,
które pierwiej spróchnieje niż się rozklei.
Jeżeli płakałam nad sobą,
to nie z racji zawodu w miłości.
A jednak było mi ciężko.

Zwłaszcza owego wieczoru, gdy przy zejściu zastała nas noc.
Nie zapomnę nigdy tych jeziorek, co zaskoczyły nas po drodze
jak gdyby dwie cysterny niezgłębionego snu.
Spał metal zmieszany z odbłaskiem
jasnej sierpniowej nocy.
Księżycy jednak nie było.

Nagle, gdy tak staliśmy wpatrzeni
– tego nie zapomnę do końca życia –
gdzieś sponad naszych głów
doszło wyraźne wołanie.
Było ono zresztą podobne
do zawodzenia raczej lub jęku
czy też może nawet do kwilenia.

Wszyscy wstrzymali oddech.
Nie było wiadomo, czy woła człowiek,
czy też zawodzi spóźniony ptak.
Ten sam głos powtórzył się raz jeszcze,
wówczas chłopcy zdecydowali się odrzyknąć.
Przez cichy uśpiony las,
przez noc bieszczadzką szedł sygnał.
Jeśli to człowiek – mógł go usłyszeć.
Jednakże tamten głos już nie odezwał się więcej.

I właśnie wówczas, gdy wszyscy zamilkli,
nasłuchując, czy się nie odezwie,
mnie nagle błysnęła inna myśl: też o sygnałach –
myśl ta wróciła do mnie dzisiaj
pomiędzy profilem Andrzeja
a wieżą starego ratusza
w naszym mieście –
dziś między godziną piątą a szóstą po południu,
gdy Andrzej poprosił mnie o rękę –

wówczas myślałam o sygnałach, które nie mogą się z sobą spotkać.
A była to myśl o Andrzeju i o mnie.
I poczułam, jak trudno jest żyć.
Tej nocy było mi tak strasznie ciężko,
choć była to naprawdę wspaniała i pełna tajemnic natury noc bieszczadzka.
Wszystko wokół zdawało mi się
tak bardzo potrzebne
i tak zharmonizowane z całością świata,
tylko człowiek wytracony i zagubiony.
Nie wiem zresztą, czy każdy człowiek,
ale wiem na pewno, że ja.

Dzisiaj więc, gdy Andrzej zapytał:
„czy zechciałabyś zostać na zawsze towarzyszką mojego życia?”
ja po upływie dziesięciu minut, odpowiedziałam „tak”,
a po chwili spytałam go jeszcze, czy wierzy w sygnały.

ANDRZEJ

Teresa spytała mnie dzisiaj:
„Andrzeju, czy wierzysz w sygnały?”
A gdy, zaskoczony tym pytaniem,
zatrzymałem się przez chwilę
i spojrzałem zdumiony w oczy
mej – od kwadransa – narzeczonej,
opowiedziała mi swe myśli,
te, które snuły się w jej głowie
od owego wieczoru w górach.

Jakże blisko przeszła wówczas obok mnie!
Osaczyła mnie prawie swą wyobraźnią
i tym dyskretnym cierpieniem,
którego wówczas nie chciałem się domyślić,
a dzisiaj gotów jestem poczytać je za nasze wspólne dobro.

Teresa – Teresa – Teresa –
jakby punkt jakiś przedziwny moich dojrzań –
już nie pryzmat pozornych promieni,
ale człowiek prawdziwego światła.
I wiem, że nie mogę iść dalej.
Wiem, że nie będę już szukał.
Drzę tylko na myśl, że tak łatwo
mogłem ją stracić.

Od kilku lat szła obok mnie, a nie wiedziałem,
że to właśnie ona idzie i dojrzewa.
Wzdragałem się przyjąć to,
co najwspanialszym dziś jest dla mnie darem.
Po kilku latach widzę to wyraźnie,
że drogi, które powinny się rozbiec,
zbliżyły nas właśnie do siebie.
Tych kilka lat to czas bezcenny,
by zorientować się w skomplikowanej
mapie sygnałów i znaków.

Tak trzeba.
dziś widzę, że mój kraj jest także jej krajem,
a przecież marzyłem, by przerzucić pomost –

2.

Wieczorami w naszym starym mieście
(– w październiku są wczesne wieczory –)
mężczyźni wychodzą z biur,
gdzie projektuje się budowy nowych osiedli,
kobiety i dziewczęta wracając do domów
ogłądają po drodze wystawy.
Spotkałem Teresę, gdy przystanąła
przed wielkim oknem wystawowym,
pełnym damskiego obuwia.
Stanąłem obok niej cicho i nieoczekiwanie
– i nagle byliśmy razem
po obu stronach wielkiej, przeźroczystej tafli
nasyconej jarzącym się światłem.
I ujrzeliśmy swoje odbicia razem,
wystawa bowiem zamknięta jest od tyłu
wielkim, olbrzymim lustrem,
które odbija zarówno modele obuwia,
jak i ludzi przechodzących trotuarem,
zwłaszcza zaś tych, co przystanąli,
aby się przyjrzeć sobie lub butom.

Gdy więc znaleźliśmy się nagle
po obu stronach wielkiego zwierciadła
– tu żywi i realni, a tam odbici –
ja – nie wiem dlaczego,
może po to, by dopełnić obrazu,
ale raczej z prostej potrzeby serca
zapytałem: „o czym myślisz Tereso?”
Zapytałem o to prawie szeptem,
bo tak zwykli mówić zakochani.

TERESA

Nie myślałam już wtedy o sygnałach.
I nie myślałam właściwie o Andrzeju.
Szukałam wzrokiem butów z wysokim obcasem.
Wiele było butów sportowych,
wiele butów wygodnych na co dzień,
lecz najbardziej wodziłam wzrokiem
za butami na wysokim obcasie.

Andrzej jest wyższy ode mnie na tyle,
że muszę sobie trochę dodać wzrostu
– a więc jednak myślałam o Andrzeju,
o Andrzeju i o sobie samej.
Stale teraz myślałam o nas dwojgu
i on też tak myślał z pewnością
– więc ucieszyłby się moją myślą.
Rozpoczęliśmy wówczas rozmowę
o różnych drobiazgach związanych z naszym ślubem.
Ja mówiłam mu o tym krawacie,
w którym mi się najbardziej podoba,
i o tym ciemnym garniturze,
w którym mu najbardziej do twarzy.
Andrzej słuchał tego bardzo chętnie,
nie dlatego, że szukał pochlebstwa,
lecz że chciał mi się zawsze podobać,
i że chciał mi zrobić przyjemność.

Potem jeszcze patrzyliśmy wspólnie
na witrynę sklepu jubilera,
gdzie w pudełeczkach
powleczonej wewnątrz aksamitem
spoczywały różne precjoza.
Wśród nich były też obrączki ślubne.
Spoglądaliśmy chwilę w milczeniu.
Potem Andrzej ujął mnie za rękę
i powiedział: „wejdźmy, Tereso,

wyberzemy dla siebie obrączki”.

ANDRZEJ

A jednak nie weszliśmy od razu.
Zatrzymała nas nagle myśl, która
– odczuwaliśmy to dobrze – powstała równocześnie
we mnie i w niej.

Obrączki, które leżą na wystawie,
przemówiły do nas dziwnie mocno.
Oto teraz są tylko wyrobem ze szlachetnego metalu,
lecz tak będzie tylko do tej chwili,
gdy jedną z nich włożę na palec Teresy,
a ona drugą na palec mej ręki.
Odtąd zaczną wyznaczać nasz los.
Będą przeszłość przypominać wciąż,
jakby lekcję, którą trzeba wciąż pamiętać,
i przyszłość otwierać będą ciągle na nowo,
łącząc przeszłość z przyszłością.
A równocześnie na każdą chwilę,
jak dwa ostatnie ogniwa łańcucha,
nas mają niewidzialnym zespalać sposobem.

Nie weszliśmy więc zaraz do sklepu. Symbol przemówił.
Zrozumieliśmy go równocześnie. Patrząc na obrączki
ślubne poddaliśmy się wzruszeniu bez słów.
I to nas wstrzymało przed sklepem. Odkładaliśmy chwilę wejścia.
Czułem tylko, że Teresa przytuliła się mocniej
do mego ramienia... i to było nasze „teraz”:
spotkanie przeszłości z przyszłością.
Oto jesteśmy oboje, wyrastamy z tylu dziwnych chwil,
jakby z głębiny faktów, zwyczajnych przecież i prostych.
Oto jesteśmy razem. Potajemnie zrastamy się w jedno
za sprawą tych dwóch obrączek.

Ktoś przemówił dość głośno za naszymi plecami.

KTOŚ

To sklep jubilera. Cóż za dziwne rzemiosło.
Produkuje przedmioty, które mogą
pobudzać do refleksji o losie.
Na przykład pozłaca zegarki, które mierzą czas
i mówią człowiekowi o zmienności wszystkiego,
o mijaniu.

TERESA

Ktoś umilkł. Ten człowiek trafił jednak
w pobliże naszych myśli. Staliśmy nadal w milczeniu.

Pracowała jednak wyobraźnia. Widziałam jak w zwierciadle
siebie samą – gdy klęczę z Andrzejem w białej ślubnej sukni.
On w czarnym garniturze. Gdy wchodziliśmy do drzwi kościoła,
dorównywałam mu wzrostem na tyle, że nie było żadnej dysproporcji
(trzeba kupić w tym celu pantofle na wysokim obcasie,
te właśnie, które dzisiaj widziałam na tamtej wystawie).

A teraz jeszcze – najdziwniejsza rzecz –
i niespodziewana:
gdy tak staliśmy przed sklepem jubilera,
przypomniały nam się fragmenty z listów
pisanych przed kilku laty.

3.

(FRAGMENTY Z LISTU TERESY DO ANDRZEJA)

...pragnę powrócić, Andrzej, do tej naszej wędrówki sierpniowej, do tej nocy, kiedy słyszeliśmy owe niezwykle sygnały. Powstało wówczas, jak pamiętasz, pewne pomieszanie i różnica zdań. Jedni sądzili, że należy wszcząć poszukiwania za wędrowcami rzekomo gdzieś zablakany w gąszczu, a drudzy, wręcz przeciwnie, byli zdania, że to wołał tylko ptak spóźniony, a nie człowiek. Ty należałeś do tych drugich.

Pamiętna to była noc, pamiętna również przez to, że wtedy – tak mi się zdaje, Andrzej – ujrzałam Ciebie w prawdzie. I wierz mi – prawie skoczyły mi do oczu te dysproporcje, jakie w Tobie drzemią. Dysproporcja pomiędzy pragnieniem szczęścia a możliwościami człowieka jest właśnie nieunikniona. Ale Ty za wszelką cenę próbujesz wyliczyć swoje szczęście tak, jak wyliczasz wszystko w swoim biurze projektów. Brak Ci odwagi i zaufania – do czego? do kogo? – do życia, do własnego losu, do ludzi, do Boga...

(FRAGMENTY Z LISTU ANDRZEJA DO TERESY)

... więc Ty jesteś odważna i pełna ufności – a ileż razy w Twojej twarzy przyszło mi czytać łzy, chociaż oczy pozostawały suche. Może i Tobie też się tylko wydaje, że odważnie sięgasz po szczęście, a naprawdę jest to tylko forma lęku – lub co najmniej ostrożności.

4.

TERESA

Wyobraźnia pracowała coraz intensywniej,
przechodziła ponad wspomnieniami, nad przeszłością,
ku przyszłości, której obraz coraz był bliższy.
Więc widzę siebie przy Andrzeju, dorównuję mu wzrostem.
Jesteśmy oboje wytworni i chyba jakoś dojrzały
– dojrzewaliśmy przez tyle listów wymienionych w ciągu tych lat.
Stoimy wciąż przed tym sklepem wybierając wspólnie nasz los.
Lecz witryna stała się zwierciadłem naszej przyszłości
– oto odbija jej kształt.

ANDRZEJ

Obrączki ślubne nie zostały na wystawie.
Jubiler długo patrzył nam w oczy.
Biorąc ostatnią już próbę szlachetnego metalu,
wypowiadał głębokie myśli, które w sposób przedziwny
utkwily w mojej pamięci.

Ciężar tych złotych obrączek
– tak mówił – to nie ciężar metalu,
ale ciężar właściwy człowieka,
każdego z was osobno
i razem obojga.
Ach, ciężar własny człowieka,
ciężar właściwy człowieka!
Czy może być uciążliwszy,
a zarazem bardziej nieuchwytny?
Jest to ciężar ciągłego ciężenia
przykutego do krótkiego lotu.
Lot ma formę spirali, elipsy – i formę serca...
Ach, ciężar właściwy człowieka!
Te pęknięcia, ten gąszcz i to dno –
te przyłgnięcia, kiedy tak trudno
odkleić serce i myśl.
A wśród tego wszystkiego wolność
– jakaś wolność, a czasem aż szal,
szal wolności uwikłanej w ten gąszcz.
I wśród tego wszystkiego miłość,
która wytryska z wolności
jak źródło z gleby przeciętej na ukos.
Oto człowiek! Nie jest przejrzysty
i nie jest monumentalny,
i nie jest prosty,
raczej biedny.
To jeden człowiek – a dwoje,
a czworo, a sto, a milion. –
Pomnóż to wszystko przez siebie
(pomnóż ową wielkość przez słabość),
a otrzymasz iloczyn ludzkości,
iloczyn życia ludzkiego.

Tak mówił ów dziwny jubiler
biorąc próbę naszych obrączek.
Potem jeszcze przeczyścił je irchą,
znowu włożył do tego puzderka,
które przedtem było na wystawie,
wreszcie zaczął obwijać w bibułę.
Patrzył przy tym ciągle w nasze oczy,
jakby chciał wysondować nam serca.
Czy miał rację mówiąc to wszystko?

Czy to były również nasze myśli?
Chyba żadne z nas nie potrafiło
myśleć o tym z takiego dystansu –
miłość raczej jest entuzjazmem niż zadumą.

TERESA

Więc stoimy odbici w witrynie
jak w zwierciadle chwytającym przyszłość:
Andrzej bierze jedną z obrączek,
ja zaś drugą, podaliśmy sobie ręce –
mój Boże, jakież to proste.

Cóż mogą myśleć ludzie zaproszeni na nasz ślub?
Co myślą wówczas, gdy milczą – i kiedy przestaną mówić,
co będą myśleć nadal?

5.

CHÓR

1. Sytuacja jest nader piękna,
musi budzić tyle skojarzeń.
Patrzmy tylko na to, co jest!
 2. Człowiek żyje z jakąś smugą cienia,
żyje także z jakąś smugą światła.
Światło przechodzi w cień,
cień w światło.
3. Nowi ludzie – Teresa i Andrzej
dotąd dwoje, lecz jeszcze nie jedno,
odtąd jedno, chociaż nadal dwoje.
 4. Ona jednak wydaje się smutna,
może zresztą tylko jest poważna
i przejęta –
(błysnął brylant w gorsie Andrzeja,
biały kwiat we włosach Teresy,
jest to jednak błysk niejednorodny).
5. Błyszczcie także i wino. Wino to rzecz.
Niechże żyje w drugim człowieku,
człowiek – to miłość. Teresa i Andrzej,
wino, wino –
promieniujcie wzajemnie w swe życie.
(Toast, toast.)
 6. Ach, ileż słów i serc,
ach, ileż słów i serc,
ach, ileż słów i serc.

I pójdziemy za wami kruzgankiem,
pójdziemy potem aleją,
kilkadziesiąt metrów, kilkaset,
z entuzjazmem,
ze szczerym uśmiechem,
dotąd, dotąd razem.
Ale potem wyrosną pojazdy,
potem przeszkodzi nam trakt
– gdy wsiądziecie w samochód,
musicie pozostać sami.
7. Wracajmy jednak do gwiazd,
wracajmy do ciepła, do uczuć.
Ach, jak łaknie człowiek uczucia,
jakże ludzi łakną bliskości.
Teresa i Andrzej.
 8. Drzewa, drzewa – proste, szczupłe pnie
tną wysoko, wysoko od ocz,
tną księżyc odległy od ocz
trzysta tysięcy kilometrów –
a przecież jest ich dwoje.
Teresa i Andrzej.
Wtedy księżyc jest małym bębenkiem
grającym w głębi ocz
i w głębi serc.
9. Miłość – miłość pulsuje w skroniach,
w człowieku staje się myślą
i wolą:
wołą bycia Teresy Andrzejem,

wolą bycia Andrzeja Teresą.

10. Dziwne, a jednak konieczne
– i znów odchodzić od siebie,
bo człowiek nie przetrwa w człowieku
bez końca
i nie wystarczy człowiek.

11. Jakże uczynić, Tereso,
by pozostać na zawsze w Andrzeju?
Jakże uczynić, Andrzeju,
by pozostać na zawsze w Teresie?
Skoro człowiek nie przetrwa w człowieku
i nie wystarczy człowiek.

12. Ciało – przez nie przesuwają się myśli,
nie zaspokajają się w ciele –
i przez nie przesuwają się miłości.
Tereso, Andrzeju, szukajcie
przystani dla myśli w swych ciałach,
dopokąd są
szukajcie przystani miłości.

6.

ANDRZEJ

Chociaż jeszcze staliśmy przed sklepem jubilera... niemniej jest rzeczą oczywistą, że witryna jego pracowni przestała być widowiskiem dla przechodniów, widowiskiem, w którym każdy bez wyjątku może wypatrzeć jakiś przedmiot dla siebie. Stała się ona natomiast zwierciadłem odbijającym nas oboje – Teresę i mnie. Więcej jeszcze – to nie było zwykłe płaskie zwierciadło, ale jakaś soczewka wchłaniająca swój przedmiot. Byliśmy nie tylko odbici, lecz wchłonięci. Odnosiłem takie wrażenie, jakbym był widziany i poznany przez kogoś, kto się ukrył w głębi tej witryny.

TERESA

Widać w niej było dzień naszego ślubu. My oboje odświętnie ubrani, a poza nami wiele osób: to goście weselni. Witryna wchłonęła moją postać w różnych momentach i sytuacjach – a więc naprzód, gdy stałam, a potem klęczałam przy boku Andrzeja, gdy zamienialiśmy obrączki... Mam też takie przeświadczenie, iż odbicie nasze w głębi zwierciadła pozostało już na zawsze i nie można go stamtąd wydobyć ani usunąć. W chwilę później pomyślałam, że byliśmy obecni w głębi tego zwierciadła od początku – w każdym razie o wiele wcześniej niż stanęliśmy przed sklepem jubilera.

ANDRZEJ

Jubiler zaś, jak już wcześniej wspomniałem, patrzył na nas w sposób szczególny. Wzrok jego był łagodny zarazem i przenikliwy. Czulem, że tym wzrokiem wodzi po nas dobierając i wążąc obrączki. Potem włożył je na próbę nam na palce. Doznałem takiego wrażenia jakby szukał wzrokiem naszych serc i zatapiał się w ich przeszłość. Czy przyszłość również ogarnia? Wyraz jego oczu łączył w sobie ciepło i stanowczość. Przeszłość dla nas pozostała niewiadomą, którą teraz przyjmujemy bez niepokoju. Miłość zwyciężyła niepokoje. Przyszłość zależy od miłości.

TERESA

Przyszłość zależy od miłości.

ANDRZEJ

W pewnej chwili raz jeszcze mój wzrok napotkał wejrzenie starego jubilera. Odczułem wówczas, że jego spojrzenie nie tylko sonduje nasze serca, ale równocześnie stara się coś przelać w nas. Znaleźliśmy się nie tylko na poziomie jego wzroku, ale też na poziomie jego życia. Całe nasze istnienie stanęło wobec niego. Wzrok jego dawał jakieś sygnały, których w tej chwili nie byliśmy zdolni odebrać w całej pełni, tak jak ongiś nie umieliśmy dokładnie odebrać sygnałów w górach – a jednak one przeszły do samego wnętrza naszych serc. I jakoś poszliśmy w ich kierunku, bo oto przyoblekają się w osnowę całego naszego życia.

TERESA

Ogromnie długo staliśmy przed sklepem jubilera, nie czując czasu ani chłodu, jaki musiał nieść z sobą ów październikowy wieczór. W pewnej chwili jednak ocknęliśmy się – za naszymi plecami jakiś przechodzień wymówił głośno takie słowa:

KTOŚ

Jest już dość późno i sklepy pozamykano. Dlaczego świeci się jeszcze w pracowni starego jubilera? Powinien też już zamknąć i wrócić do domu.

II. OBLUBIENIEC

(Anna, Stefan)

1.

ANNA

Patrząc w wydarzenia ostatnich dni
musiałam być roztrzęsiona.
Musiałam w nie patrzeć z goryczą.
Gorycz jest smakiem potraw i napojów,
jest także smakiem wewnętrznym – smakiem duszy,
która doznaje zawodu albo rozczarowania.
Smak ów wchodzi we wszystko, co wypada nam
zrobić, mówić lub myśleć, przenika nawet nasz uśmiech.

Czy naprawdę doznałam zawodu i rozczarowania?
Może to tylko zwyczajny bieg rzeczy
zdeteminowany historią dwojga ludzi?
Tak właśnie usiłuje to wytłumaczyć Stefan,
wyznałam mu bowiem natychmiast
pierwszy żal, jaki we mnie narósł.
Stefan słuchał, ale nie odczułam,
aby przejął się tym, co mówiłam.
O to żal jeszcze się powiększył.
Już mnie nie kocha – musiałam pomyśleć –
skoro nie reaguje na mój smutek.

Nie mogłam się z tym pogodzić
i nie mogłam też temu zaradzić,
że zaczęło się tworzyć pęknięcie:
(brzegi jego zrazu stały w miejscu,
lada chwila mogły się rozsunąć
jeszcze bardziej –
w każdym razie nie czułam,
by się znów zbliżały do siebie).
Stefan jakby przestał być we mnie.
Czy ja w nim także być przestałam?
Czy tylko miałam poczucie,
że istnieję teraz tylko w sobie?
Jakże było mi zrazu obco
w sobie samej!

Jakbym już odwykła od ścian mego wnętrza –
tak bardzo były one pełne Stefana,
że bez niego wydawały się puste.
Czyż nie jest to rzeczą zbyt straszną
tak skazywać ściany swego wnętrza
na jednego tylko mieszkańca,
który może wydziedziczyć mnie samą
i jakoś pozbawić w nim miejsca!

Na zewnątrz nie zmieniło się nic.
Stefan niby postępował tak samo,
lecz nie umiał zabiłnić tej rany,
która powstała w mej duszy.
Nie czuł jej, nie bolała go całkiem.
Może nie chciał. Czy zabiłni się sama?
Ale jeśli zabiłni się sama,
stała jakoś będzie nas rozdzielać.
Tymczasem Stefan był pewny,
że niczego nie musi zabiłniać.
Pozostawił mnie z raną ukrytą,
myśląc pewnie: „to jej samo przejdzie”.
A poza tym ufał w swoje prawa,
ja zaś chciałam, by je wciąż zdobywał.
Nie chciałam się czuć jak przedmiot,
którego nie można utracić,
gdy się raz już posiadało na własność.
Czy w tym wszystkim był jakiś egoizm?
– Z pewnością czyniłam za mało,
by Stefana wytłumaczyć przed sobą.
Bo czyż miłość ma być kompromisem?
Czy nie winna wciąż rodzić się z walki
o miłość drugiego człowieka?
Więc walczyłam o miłość Stefana,
w każdej chwili gotowa się cofnąć,
jeśli on nie zrozumie sensu

całej tej walki.

Czy jednak w końcu przebaczę?
Czy pęknięcie raczej się utrwali?
Bardzo trudne jest to pogranicze
egoizmu i nie-egoizmu.
Byłam matką. W pokoiku obok
co wieczora zasypiały nasze dzieci:
najstarszy Marek, Monika i Jan.
Cicho było w dziecięcym pokoju:
– w dusze dzieci jeszcze nie przeszło
to pęknięcie naszej miłości,
które ja już czułam tak dotkliwie.

2.

PRZYPADKOWY ROZMÓWCA

Spotkałem tę kobietę tutaj drugi raz.
Przechodziła obok sklepu starego jubilera.
Okiennice były już zamknięte i drzwi ściągnięte na kłódkę.
Jubiler kończy pracę o godzinie dziewiętnastej
i wychodzi.
Pracując przez cały dzień może sobie nie uświadamia,
jak głęboko jego rzemiosło wdziera się w życie człowieka.
Rozmawiałem z nim kiedyś na ten temat.
Drzwi sklepu były otwarte i jubiler stał na progu
przypatrując się przechodniom jak gdyby od niechcenia.
Mocno świeciło słońce, więc ulica pełna była blasku,
od którego mrużyły się oczy.
Mężczyźni i kobiety zakładali ciemne okulary,
aby blask ich zbytnio nie raził.
Poprzez ciemne okulary nie rozpoznasz koloru źrenic,
które w ciemności utonęły jak gdyby w studni.
A jednak spoza takich okularów
widzisz wszystko (choć w szczególnym odcieniu),
a powiek nie musisz mrużyć.

Teraz sklep jubilera jest zamknięty.
Twarze przechodniów ukrywają się w mroku wieczoru.

ANNA

Przechodziłam tędy wielokrotnie.
Była to moja droga codzienna po pracy
(do pracy chodzę „na krótsze”).
Dawniej jednak nie zwracałam uwagi
na ten sklep.
Lecz od czasu
gdy pęknięcie naszej miłości stało się faktem,
patrzyłam nieraz na złote obrączki
– symbole ludzkiej miłości i „wiary małżeńskiej”.
Pamiętam, jak ongiś przemawiał ów symbol,
kiedy miłość była czymś bezspornym,
jakąś pieśnią śpiewaną wszystkimi
strunami serc.
Potem struny zaczynały głuchnąć
i nikt z nas temu nie umiał zaradzić.
Ja myślałam, że winien jest Stefan –
a winy w sobie nie umiałam znaleźć.
Coraz bardziej życie się zmieniało
w uciążliwą egzystencję dwojga,
którzy w sobie zajmują wzajemnie
coraz mniej miejsca.
Pozostaje tylko suma obowiązków,
suma umowna i zmienna,
oderwana przy tym coraz bardziej
od czystego smaku entuzjazmu.
I tak mało, tak mało już łączy.

Pomyślałam wtedy o obrączkach,
które wciąż nosimy na palcach
oboje: Stefan i ja.
Więc pewnego razu wracając z pracy
i przechodząc obok sklepu jubilera,

pomyślałam, że można by sprzedać
z powodzeniem tę moją obrączkę
(Stefan chyba by nie zauważył –
nie istniałam prawie już dla niego.
Czy mnie zdradzał – nie wiem,
bo i ja nie zajmowałam się jego życiem.
Był mi obojętny.
Pewnie chodził po biurze na karty
i po libacjach wracał dosyć późno,
bez słowa lub z jakimś zdawkowym,
na które odpowiadałam z reguły milczeniem).

Więc tym razem zdecydowałam się wstąpić.
Jubiler obejrzał robotę, warzył pierścień
długo w palcach i spoglądał
mi w oczy. Przez chwilę czytał
wypisaną wewnątrz obrączki
datę naszego ślubu.
znów patrzył w moje oczy. kładł na wagę...
potem powiedział: „Obrączka ta nic nie waży,
waga stale wskazuje zero
i nie mogę wydobyć z niej
ani jednego miligrama.
Widocznie mąż pani żyje –
wtedy żadna obrączka z osobna
nic nie waży – ważą tylko obie.
Moja waga jubilerska
ma tę właściwość,
że nie odważa metalu,
lecz cały byt człowieka i los”.
Odebrałam pierścień zawstydzona
i bez słowa już wyszłam ze sklepu
– myślę jednak, że on patrzył za mną.
Od tego czasu wracałam do domu inną drogą.
Dopiero dzisiaj znów... sklep jednakże zastałam zamknięty.

PRZYPADKOWY ROZMÓWCA

Kobieta, którą spotkałem przy sklepie jubilera,
nie znalazła się tutaj przypadkiem –
jestem tego całkowicie pewny.
Ja natomiast myślę, że przypadkiem
nawiązałem z nią ową rozmowę,
w wyniku której stało się to,
że kobieta otwarła przede mną swoje życie.
Skarżyła się też na koniec, że stary jubiler
nie chciał odkupić obrączki, która stała się jej nie potrzebna.
Więc wiedziałem wiodąc tę rozmowę,
odkąd dokąd sięga ludzka miłość
i jakie ma brzegi urwiste.
Kiedy ktoś się osunie po takim brzegu,
bardzo trudno mu wrócić
i błąka się sam poniżej swej drogi.
O Stefanie także ze słów Anny dowiedziałem się tyle,
jakbym miał być sędzią i wykonawcą wyroku.
Jubilera jednakże nie było
i nie było komu potwierdzić tych słów.

ANNA

Dziwiłam się sama sobie,
że zaczęłam taką rozmowę
z zupełnie nieznanym mężczyzną.
Mówiłam mu o Stefanie i o sobie,
korzystając z tego, że słuchał
i nie przerywał mych zdań.
To był właściwie monolog
przygotowany do końca w mej myśli.
Szły fakty za faktami, obciążając Stefana.
Byłam pewna prawdy swoich sądów.
Lecz mówiłam także jak kobieta
o wewnętrznej rysie na miłości,
o pęknięciu i ranie, która boli...

Tamten człowiek słuchał mnie w skupieniu.
Nie znałam jego imienia i nazwiska.
On też mnie o moje nie pytał.
Jednak w pewnym momencie
powiedział „Anno” (wymienił więc moje imię)
„jakżeś bardzo do mnie podobna
– i ty, a także i Stefan,
jesteście podobni oboje.
A moje imię jest Adam”.

Chciałam jeszcze zapytać o adres
(można by kiedyś napisać parę słów),
Teraz trochę szliśmy ulicą.
Tak dobrze się poczułam
w towarzystwie tego człowieka.
Uderzyła mnie jego postać bardzo męska i bardzo skupiona.
Dominowała myśl i pewien odcień bólu
(jakże różni się od Stefana).

Adam powiedział znienacka,
gdyśmy po chwili stanęli na tym samym miejscu:
oto znowu sklep jubilera.
Tędy za chwilę przejdzie Oblubieniec.

ADAM

Powiedziałem wtedy tej kobiecie (Annie):
„tędy za chwilę przejdzie Oblubieniec” –
a powiedziałem jej to z myślą o miłości,
która tak bardzo w jej duszy wygasła.
Oblubieniec przychodzi tylu ulicami,
na których też spotyka tylu różnych ludzi.
Przechodząc dotyka tej miłości,
jaka w nich jest. Gdy jest zła,
cierpi z tego powodu. Miłość jest zła
również wtedy, kiedy jej brak.

Pamiętam – to mówiłem także tej kobiecie:
dlaczego pragniesz tutaj sprzedać twą obrączkę?
co chcesz zerwać tym gestem? – twoje życie?
Czyż nie sprzedaje się życia co chwilę?
czy nie zrywa się życia całego
w każdym geście?
Ale cóż z tego? Nie w tym rzecz, by odejść,
wędrować w ciągu dni, miesięcy, nawet lat –
rzecz w tym, by wrócić i na dawnym miejscu
odnaleźć siebie. Życie jest przygodą,
a równocześnie ma swoją logikę
i konsekwencję –
zatem nie wolno pozostawiać myśli
i wyobraźni z sobą sam na sam!
Więc z czym ma zostać? – zapytała Anna.
Myśl – oczywiście – że ma zostać z prawdą.

ANNA

Czyż prawdą nie jest to, co się najmocniej czuje?

Rozmowa nasza potoczyła się nieoczekiwanym nurtem –
Nie byłam zatem pewna, do czego jeszcze może doprowadzić.
To dzieło mej wrażliwości i jego inteligencji.

Stefan na chwilę oddalił się z mej świadomości,
a jednak czułam i wtedy, jak bardzo nie mogę
przebaczyć mu, że pohańbił me odbicie w sobie,
moją istotę, która jakoś w nim być musiała
– wszak byłam jego żoną...
Subtelna byłam nie mniej jak namiętna –
czyż miłość nie jest sprawą zmysłów i atmosfery?
To łączy się i sprawia, że dwoje ludzi chodzi
w kręgu swojego uczucia – i oto cała prawda.

Adam z tym jednak w całej pełni się nie godził.
Miłość jest wedle niego syntezą istnienia dwóch ludzi,

które się w pewnym punkcie jakby zbiega
i z dwojga czyni jedno.

A potem jeszcze raz powtórzył,
ze tą ulicą pójdzie Oblubieniec
już wkrótce.
Ta wiadomość, usłyszana po raz drugi,
już nie tylko mnie zafascynowała,
lecz wzbudziła nagle mą tęsknotę.
To tęsknota za kimś doskonałym,
za mężczyzną stanowczym i dobrym,
który będzie inny od Stefana,
inny, inny –
i wraz z poczuciem tej nagłej tęsknoty
sama poczułam się inna i młodsza.
Chyba nawet zaczęłam biec
przypatrując się pilnie mijanym mężczyznom –

3.

... Pierwszy z nich, o którego się otarłam, nie odwrócił nawet wzroku w moją stronę. Szedł najwyraźniej zamyślony. Może myślał o swych interesach. Mógł być na przykład dyrektorem firmy lub pierwszym księgowym wielkiego przedsiębiorstwa. Nie odwracając więc głowy powiedział tylko „przepraszam”.

I

Przepraszam.

ANNA

Nie usiłowałam go zatrzymać, byłam jednak gotowa zwrócić na siebie uwagę. Nie wiem, jak to się stało, że teraz byłam gotowa zwracać na siebie uwagę każdego mężczyzny. Może to było tylko proste odbicie tęsknoty, ale doszłam do przekonania, że nikt nie może odebrać mi tego prawa.

ADAM

To właśnie zmusza mnie do myślenia o ludzkiej miłości. Nie ma sprawy, która bardziej niż ona leżałaby na powierzchni ludzkiego życia, i nie ma też sprawy, która bardziej od niej byłaby nieznana i tajemnicza. Rozbieżność między tym, co leży na powierzchni, a tym, co jest tajemnicą miłości, stanowi właśnie źródło dramatu. Jest to jeden z największych dramatów ludzkiej egzystencji. Powierzchnia miłości ma swój prąd, prąd szybki, migotliwy, łatwo zmienny. Kalejdoskop fal i sytuacji tak pełnych uroku. Prąd ten jest czasami zawrotny tak, że porywa ludzi, porywa kobiety i mężczyzn. Porwani myślą, że wchłonęli całą tajemnicę miłości, a tymczasem nawet jej jeszcze nie dotknęli. Są przez chwilę szczęśliwi, bo mniemają, że dotarli do granic egzystencji i wydarli wszystkie jej tajniki, tak że nie pozostało już nic. Tak właśnie: po drugiej stronie tego uniesienia nie pozostaje nic; poza nim jest tylko nic. A nie może, nie może pozostać nic! Słuchajcie, nie może. Człowiek jest jakimś *continuum*, jakąś całością i ciągłością – więc nie może pozostać nic!

ANNA

Drugi przechodzień spotkany zareagował inaczej. Kiedy spojrzałam mu w twarz, zauważył mój wzrok i przystanął. Odebrał spojrzenie, podszedł dwa kroki w moją stronę i powiedział: „chyba widziałem panią już kiedyś...”

II

...chyba widziałem panią już kiedyś...

ANNA

Byłam prawie gotowa przyłgnąć do jego ramienia. Wieczór był wszakże taki ciepły i tyle światła przesączało się wśród rdzewiejących liści października. Wieczorem zresztą nie widać rdzy. Tak bardzo zaś pragnęłam męskiego ramienia i spaceru wśród alei wędniejących kasztanów. Wówczas on jeszcze powiedział: „może wstąpimy do tego lokalu. Parę taktów lekkiej muzyki dobrze działa”...

II

...może wstąpimy do tego lokalu... parę taktów lekkiej muzyki dobrze działa...

ANNA

„A potem?” – nie odpowiedział, ja zaś jak gdybym zlekła się tego „potem”. On musi mieć żonę, o której w tej chwili milczy. Nagle zrozumiałam, co może się mieścić w wyrażeniu „przygodna kobieta”. I coś mi nakazało nie przyłgnąć do jego ramienia. Nie był zresztą zbyt natarczywy. I wtedy jeszcze mocniej to rozumiałam, co musi się mieścić w wyrażeniu „przygodna kobieta”.

Nie wiem, ile uczyniłam kroków i w którym kierunku. Myślę, że szłam w kierunku od alei okalających stare miasto w stronę tego kościoła, w którego niszach stoją posągi świętych. W tylnej niszy – pamiętam jest krucyfiks, przed którym pali się w nocy lampa. Zdaje mi się, że dostrzegam już jej światło przyćmione różnokolorowym szkłem latarni.

Szłam jednak myśląc wciąż o tym samym, wychodząc niejako naprzeciw każdemu mężczyźnie. Któryś przeszedł tak szybko i tak blisko, że zawadził brzegiem swej teczki o drut mojej parasolki zwisającej z prawego ramienia. Inny uchylił kapelusza, przyglądając się pilnie mej twarzy i szybko znów nałożył go na głowę; słyszałam, że wymamrotał coś w rodzaju „nie, nie znam” – i poszedł dalej.

III

...nie... nie znam...

ANNA

Teraz jest brzeg trotuaru. Krawężnik. Idę samym krawężnikiem, jak chodziłam, gdy byłam małą dziewczynką. Umiałam wówczas biec po krawężnikach ulic i nigdy noga nie spadła poniżej – na jezdnię. To była ulubiona zabawa koleżanek, po której przekomarzałyśmy się nieraz: „a ja przebiegłam Chłodną i Prusa, i raz tylko spadłam”, „a ja ani razu, widzisz, kto lepiej”...

Teraz idę znów krawężnikiem, nie biegnę. mam oczy wprowadzić suche, ale wiem, że błyszczą. Oto samochód, wytworny model. Szybka z lekka uchylona, mężczyzna przy kierownicy. Przystanąłam.

ADAM

Miłość to nie jest przygoda. Ma smak całego człowieka. Ma jego ciężar gatunkowy. I ciężar całego losu. Nie może być chwilą. Wieczność człowieka przechodzi przez nią. Dlatego odnajduje się w wymiarach Boga, bo tylko On jest wiecznością.

Człowiek wychylony w czas. Zapomnieć, zapomnieć. Być tylko chwilę, tylko teraz – i odciąć się od wieczności. Wziąć wszystko w jednej chwili i wszystko zaraz utracić. Ach, przekleństwo chwili następnej i wszystkich następných chwil, w ciągu których będziesz poszukiwał drogi do tej, która minęła, aby ją mieć znów na nowo, a przez nią „wszystko”.

ANNA

Przystanąłam i wzrok utkwiałam w modelu, w szybie; w człowieku. Pamiętam, jak Stefan mówił: „kochana, kiedyś kupię samochód, będziemy sunąć w nieznaną, piękni, wytworni”. Mężczyzna spojrzał. Podeszłam. Opuścił niżej szybę. Głos miał niski i ciepły, gdy przemówił „czy pani pozwoli?”.

IV

...czy pani pozwoli?...

ANNA

Wskazywał miejsce obok. Potem chwila, zapali motor. Ruszymy. Będziemy sunąć w nieznaną. Męskie dłonie na kierownicy. Można się oprzeć z lekka o to ramię, które rozwija wstęgę drogi. Potem światła z góry... Będę znów kimś. On raz jeszcze powtórzył te słowa.

IV

...czy pani pozwoli?...

ANNA

Chcę, chyba bardzo chcę.

Właściwie już położyłam dłoń na klamce. Trzeba było tylko nacisnąć. Nagle poczułam męską dłoń na mojej dłoni. Podniosłam oczy. Nade mną znów stał Adam. Widziałam jego twarz, która była zmęczona; zdradzała przejęcie. Adam patrzył mi prosto w oczy. Nic nie mówił. Trzymał tylko swą dłoń na mojej ręce. W pewnej chwili powiedział „nie”.

ADAM

Nie.

ANNA

Poczułam, że samochód przesuwają się koło nas. Za chwilę już go nie było. Adam puścił moją rękę. Musiałam powiedzieć: ależ to dziwne, że wróciłeś, a ja myślałam, żeś już zniknął bezpowrotnie. Gdzie byłeś przez ten czas?

ADAM

Powróciłem, ażeby ci pokazać ulicę. Jest dziwna. Jest dziwna nie przez to, że jest pełna sklepów, neonów i architektury, ale – przez ludzi. Popatrz, tamtą stroną ulicy przechodzą dziewczęta. Idą roześmiane i głośno rozmawiają z sobą. Ach, ty na pewno nie wiesz, dokąd one idą. –

Pogasy im lampy, więc idą kupić oleju. Naszczą oleju do lamp i znów będą świeciły.

ANNA

Ach tak...

ADAM

To są panny mądre. Policz, ile ich jest. Powinno być pięć. Przeszły. Zdziwiłaś się na pewno, że nie mają długich wschodnich szat. Są ubrane stosownie do klimatu i do zwyczajów naszej ojczyzny. Mają jednak w rękach lampiony i ludzie dziwią się, dokąd je niosą. Może się zresztą tak bardzo nie dziwią, bo ludzie naszej epoki odzwyczaili się od zdziwienia.

A teraz popatrz tam. To są głupie panny. Śpią one, a lampy leżą z boku oparte o mur. Jedna potoczyła się nawet w poprzek chodnika i spadła poza krawędź.

Tobie się zdaje, że one śpią w tych niszach, ale właściwie i one również idą ulicą. Idąc śpią. Chodzą w letargu – tkwi w nich jakaś uśpiona przestrzeń. Ty teraz czujesz tę przestrzeń w sobie, bo ty również miałaś usnąć. Przyszedłem cię obudzić. Zdaje mi się, że zdążyłem na czas.

ANNA

Po co mnie zbudziłeś? Po co?

ADAM

Zbudziłem cię dlatego, że tą ulicą ma pójść Oblubieniec. Panny mądre chcą wyjść naprzeciw niego ze światłem, panny głupie posnęły i pogubiły lampy. Ręczę ci, że nie zdążą się obudzić, a jeśli nawet się pobudzą, to nie zdążą znaleźć i pozapalać lamp.

ANNA

Istotnie – lampy potoczyły się w poprzek ulicy, a człowiek, gdy się obudzi z nienacka, jest zawsze jeszcze przez chwilę pełen snu. Oblubieniec zaś przejdzie szybko. Jest to na pewno mężczyzna młody i nie będzie czekał.

ADAM

On czeka właściwie wciąż. Wciąż żyje w oczekiwaniu. Widzisz – tylko to jest jakby po drugiej stronie tych różnych miłości, bez których człowiek nie może żyć. O, choćby na przykład ty. Nie możesz żyć bez miłości. Widziałem z daleka, jak szłaś tą ulicą i próbowałaś wzbudzić dla siebie zainteresowanie. Prawie że słyszałem twoją duszę. Wołałaś z rozpaczą o miłość, której nie masz. Szukałaś kogoś, kto by cię wziął za rękę, przygarnął...

Ach, Anno, jak mam ci tego dowieść, że po drugiej stronie wszystkich tych naszych miłości, które wypełniają nam życie – jest Miłość! Oblubieniec idzie tą ulicą i chodzi każdą z ulic! Jakże mam ci dowieść tego, że jesteś oblubienicą. Trzeba by teraz przebić jakąś warstwę twojej duszy, tak jak przebija się warstwę poszycia i gleby poszukując źródła wody pośród zieleni lasu. Słyszałabyś wtedy, jak mówi: umiłowana, nie wiesz, jak bardzo należysz do mnie, jak bardzo jesteś własnością mojej miłości i mego cierpienia – bo „miłować” znaczy dawać życie poprzez śmierć, „miłować” znaczy wytryskiwać zrodem wody żywej w głębinach duszy, która się pali lub tli, a spłonąć nie może. Ach, płomień i źródło! Nie czujesz źródła, a płomień cię trawi. Prawda?

ANNA

Nie wiem. Wiem tylko, że mówiłaś do mojej duszy. Nie bój się. Idzie razem z ciałem. Jakże można ją bez ciała ogarnąć lub posiadać? Ja jestem panna głupia. Ja jestem jedna z głupich panien. Po co mnie zbudziłeś?

ADAM

Oblubieniec nadchodzi. To jest właśnie jego godzina. O, popatrz – właśnie przeszły panny mądre, trzymając świeżo zapalone lampy. Światło ich jest jasne, bo przeczyściły szkła w lampionach. Idą wesoło, prawie pływają w chodzie.

ANNA

Widziałam znów tę dziewczęta. Twarze ich nawet nie były skupione. Czy są naprawdę czyste i szlachetne, czy tylko powiodło im się w życiu, nie tak jak mnie?

O głupia, głupia kobieto, zbudzona po to, by dalej spać. –

Potem widziałam dalej. Szedł jakiś Mężczyzna, ubrany w cienkie palto, bez kapelusza. Twarzy jego od razu nie dostrzegłam, bo szedł zamyślony z pochyloną głową. Odruchowo zaczęłam iść w jego kierunku. Kiedy jednak uniósł twarz, omal nie krzyknęłam. Zdawało mi się,

ze widzę wyraźnie twarz Stefana. I natychmiast cofnęłam się w tym kierunku, gdzie stał Adam. Uchwyciłam go mocno za rękę. Adam mówił:

ADAM

Wiem, dlaczego się cofnęłaś. Nie zniosłaś widoku jego twarzy.

ANNA

Zobaczyłam twarz, której nienawidzę, i zobaczyłam też twarz, którą powinnam miłować. Dlaczego wystawiasz mnie na taką próbę?

ADAM

W twarzy Oblubieńca każdy z nas odnajduje podobieństwo twarzy tych, w których uwikłała nas miłość po tej stronie życia i egzystencji. Wszystkie są w Nim.

ANNA

Boję się.

ADAM

Boisz się miłości. Czy doprawdy boisz się miłości?

ANNA

Tak. Boję się. No, czego mnie dręczysz! Ten człowiek miał oblicze Stefana. Ja boję się tego oblicza.

4.

CHÓR, STEFAN

1. Oto przerwa światła i przerwa słów
nie przerwano myśli i dramatu.
Ludzie zostają ci sami.
Rozszczebia ich los,
on sprawia, że się wymieniają,
nie tworzą jedności.
 2. Lampy nisko świecą w chodniku ulicy
– czy wyczerpała się w nich oliwa?
To nie olejem karmi się płomień,
lecz wodą deszczową –
pada deszcz, chodniki mokną i jezdnia.
3. Panny głupie, o panny głupie,
z wody nikt nie wykrzesze płomienia!
(Stopy ludzkie od wilgoci ochrania
obuwie.)
 4. Niech odstąpią złudzenie i fikcja:
nikt nie przeszedł, światła nie zabrano.
Wszystko było tak samo, jak jest.
Deszczem karmi się zieleń
– drzewa nie rdzewieją dotychczas.
Mokre włosy Anny i ramię Stefana
i płaszcz –
5. To było. Nikt mu nie każe powracać.
Mokre włosy, bo wiosna lub jesień. Nie płacz!
Nie jesteś wolny, nie jesteś inny
– tylko deszcz na ukos.
 6. A knoty piją oliwę,
a woda pije płomień,
a kamień wody nie pije
– nie pije – nie pije –
lecz woda wypła płomień
i lampy zgasły.
7. Dwie lampy zgaszone.
Jedna drugiej nie dała płomienia.
Jedna drugiej nie dała oliwy.
Nie dała knota.

Nie dała knota,

nie dała

– dwie lampy – i deszcz.

8. Zmrok zapada, a On przyniósł światło.

Przyniósł i przeniósł.

I chciał się stać tobą i mną,

nim i nią.

Lecz przeszedł.

Któż wie, która teraz godzina?

9. To ja. To ja. Ramię Stefana słabe

i włosy Anny wyschły. I oczy...

5.

ANNA

Gdy się ocknęłam z widzeń moich i rozważań,
wciąż jeszcze stałam na tym samym miejscu.
Sklep jubilera po dawnemu był zamknięty.
Przypomniałam sobie wyraz jego oczu,
które wypowiadały niezależnie od słów taki rozkaz:
nie wolno ci nigdy być poniżej tego, co widzi mój wzrok,
nie wolno ci opadać w dół, skoro ciężar twojego życia
moje muszą wykazać wagi.
Gdy potem biegłam pełna ukrytej nadziei
w stronę zapowiedzianego mi nagle Oblubieńca,
zobaczyłam oblicze Stefana.
Czy On musi mieć dla mnie tę twarz?
Dlaczego? Dlaczego?

III. DZIECI (Monika i Krzysztof)

1.

TERESA

W tym dniu, w którym Krzysztof powiedział mi o Monice,
powracałam do domu wolniej niż kiedykolwiek,
jakbym szukała umyślnie nowych ulic i okrzęnych dróg.
Musiałam przecież pomyśleć nad słowami mojego syna
i szukać dla nich w sobie klimatu serca.

Wiedziałałam o niej już dawniej. Była jedną
z koleżanek Krzysztofa na studiach. Wiedziałałam także,
że Krzysztof interesuje się tą dziewczyną.
Widziałam ją kilka razy – było to dziecko nieśmiałe
i delikatne. Czyniła na mnie wrażenie
istoty w sobie zamkniętej, której właściwa wartość
tak bardzo ciąży do wewnątrz, że wręcz przestaje
docierać do innych ludzi. Czy jest to wartość prawdziwa?

Myślałam więc o Monice pośród nieznanych ulic,
Lecz stale widziałam Krzysztofa. Myślenie o nim
stało się dla mnie czymś bliskim tak samo, jak moje istnienie.
Przedrażyło sobie tyle ścieżek w mej świadomości,
że skądkolwiek zaczynała się myśl,
na jedną z nich musiała natrafić.
W tej chwili jestem (chyba) przed sklepem jubilera.
I nagle stanęło mi w oczach jakby zwierciadło,
W którym odbiły się kiedyś losy Andrzeja i mój.
Staliśmy długo na progu. Był wieczór w październiku.
Obrączki ślubne leżały przed nami na wystawie.
Potem widzieliśmy je na palcach naszych rąk.
Była w tym jakimś zwierciadle nasza najbliższa przyszłość.
Ludzie życzliwi wchodzili przez ścianę tego widzenia,
słyszeliśmy ich rozmowy – i więcej jeszcze: ich myśli.
A my oboje z Andrzejem z pomocą dwóch złotych obrączek
stajemy się jednością –
Dotąd tylko czytamy w zwierciadle,
a dalej jest niewiadoma.

Nie było na świecie Krzysztofa, który się poczył we mnie.
A dalszy los Andrzeja, historia tej naszej jedności,
to wszystko wówczas nie znane już teraz stało się ciałem.

Gdy Krzysztof ukończył dwa lata, Andrzej odjeżdżał na front.
Wziął dziecko i długo przygarniał, nim drzwi się za nim zamknęły.
To było widzenie ostatnie – i Krzysztof ojca nie zna.
Nasza jedność została w tym dziecku, nie więcej.
Krzysztof rósł,
Andrzej nie umarł we mnie, nie zginął na żadnym froncie,
nie musiał nawet powracać, bo jakoś jest.

Nie masz pojęcia, mój mężu, jak straszny to jest lęk,
który graniczy z nadzieją i co dzień w nią się wdziera.
Nie ma nadziei bez lęku i lęku bez nadziei.
A Krzysztof rósł – i widziałam w nim coraz bardziej ciebie.
Nie wychodziłam więc z kręgu twojej przedziwnej osoby,
której oddałam siebie i już nie umiem odebrać.
Ty nawet nie przychodzisz, nawet się nie fatygujesz.
Po drugiej stronie zwierciadła jubiler dobierał obrączki.
Po drugiej stronie zwierciadła rozszepił się nasz los
– została przecież jedność.

Krzysztof, Krzysztof mówił mi dziś o Monice,
Obcej nieśmiałej dziewczynie –
tak jak ongiś ty powiedziałeś matce „Teresa”.
Słowo padło.

Stałam więc dzisiaj znów przed sklepem jubilera,
czytałam dalszy ciąg naszej przedziwnej historii.
Ten starzec miał w oczach poziom naszego nowego istnienia.
Pion stanowiły serca. (Pion się z poziomem spotykał.)

Potem widziałam ich razem – wychodzili oboje radośni.
Monika w swoim uśmiechu zdradzała dyskretny przełom:
Krzysztof odczytał człowieka i myśli się przeniknęły.
(Przez chwilę się czułam Moniką spotkaną znowu przez ciebie.)
mogli oboje przejść, nie zauważyć mnie nawet –
a przecież ich cała rozmowa musiała być we mnie.

2.

(Rozmowa Krzysztofa i Moniki była taka:)

KRZYSZTOF

Jestem dzieckiem mojej matki i w tobie ją także znajduję.
Ojca nie znałem – więc nie wiem, kim winien być mężczyzna.
Zaczynam życie na nowo. Brak mi gotowych modeli.
Ojciec pozostał w matce, gdy poległ gdzieś na froncie,
i już mnie nie nawiedzał, nie był ze mną na co dzień.
Matka we mnie szczepiła ideę ojca – tak rosłem,
myśląc częściej niż mniemasz o jej kobiecym losie,
o samotności pełnej nieobecnego człowieka,
którego ja uobecniam –
Lecz nie chcę tego losu dla ciebie. Chcę obecności,
takiego przenikania się odtąd wzajemnie, jak teraz.
Czy tak wiele masz z mojej matki, że muszę od niej odejść,
ażeby ją w tobie znajdować? To całkiem nowe życie
i całkiem nowi ludzie: dziękuję ci za to właśnie,
żeś mnie zmusiła, Moniko, ogarnąć moje istnienie
jak niesłychany całokształt, który się uwydatnił
i zarysował przez to, żeś ty stanęła w pobliżu.

MONIKA

Ja jednak lękam się siebie i lękam się także o ciebie.
Długo przedtem lękałam się o ciebie lękając się przy tym o siebie.
Twój ojciec odszedł i poległ, a przecież została jedność
– ty byłeś jej rzecznikiem, miłość na ciebie przeszła.
U mnie rodzice żyją jak dwoje obcych ludzi,
nie ma jedności takiej, o jakiej musi się marzyć,
kiedy się życie we dwoje chce przyjąć, a także chce dać.
Czy to nie będzie pomyłka, mój drogi, czy to nie minie?
Czy kiedyś nie odejdiesz tak samo, jak mój ojciec,
który jest w domu obcy – czy ja nie odejdę jak matka,
która stała się obca? Czy ludzka miłość w ogóle
zdolna do tego, by przetrwać całe istnienie człowieka?
Więc to, co mnie teraz przenika, to jest uczucie miłości
– ale przenika mnie także jakieś uczucie przyszłości,

a to jest lęk.

Wiem – wzięłeś je ode mnie (od tego zaczęła się miłość),
wzięłeś je kiedyś w swe ręce jakby drugą parę rąk,
zziębniętych i zagrożonych, że nie odtają
– to były moje ręce – pamiętasz, Krzysztofie, na nartach
przy brzegu owego lasu, gdy zachód szybko nadchodził,
a myśmy zgubili drogę. Lękam się przy tym ciebie,
właśnie tej twojej siły, która mną może zawładnąć,
a potem może zostawić... (to było uczucie przyszłości).
Teraz raczej siebie się lękam, do ciebie nabrałam ufności.
Mówiłeś, że ojciec odszedł i nie powrócił już nigdy,
a przecież on pozostał, Krzysztofie – nie jak mój ojciec
– i nie jak moja matka. Więc pomyślałam kiedyś,
że ty zostaniesz także, choćbyś tak odszedł, jak ojciec. –
I odtąd się wszystko zmieniło. Zaczęłam się lękać o ciebie.

KRZYSZTOF

Musimy się z tym pogodzić, że miłość wplata się w los.
Jeśli los nie rozszczępi miłości, odnoszą zwycięstwo ludzie.
Lecz nic poza tym – i ponad to także nic.
Tu są granice człowieka.

Nieraz budziłem się nocą – i zaraz moja świadomość
była przy tobie. Pytałem siebie czy mogę
brać twoje ręce zziębnięte, rozgrzewać moimi rękami:
– pojawi się jakaś jedność, wizja nowego istnienia,
które ogarnia nas dwoje. Czy potem jednak nie zgaśnie?
Walczyłem tak godzinami, nie mogąc usnąć do rana,
z pokusą jakiejś ucieczki – dziś jednak dłużej nie mogę.
Musimy iść odtąd razem, Moniko, musimy razem,
choćbym miał odejść od ciebie tak wkrótce, jak ojciec od matki.
Wszystko tamto trzeba pozostawić i tworzyć swój los od początku.
Miłość jest ciągłym wyzwaniem rzucanym nam przez Boga,
rzucanym chyba po to, byśmy sami wyzywali los.

MONIKA

Musimy iść odtąd razem, Krzysztofie, musimy razem,
choćbym miała stać ci się obcą jak moja matka ojcu.
Lękałam się długo miłości dlatego właśnie. Dziś
lękam się jeszcze o miłość, o to wyzwanie człowieka.
Bierzesz przecież dziewczynę trudną, wrażliwą wręcz do przesady,
która łatwo się w sobie zamyka i z trudem łamie ten krąg,
jaki własne „ja” ciągle wytwarza. Bierzesz taką, co chłonnie
bardziej może, niż ty dać potrafisz, a daje ogromnie oszczędnie.
Nieraz karciła mnie matka o to wszystko – i tak jest z pewnością.
Teraz widzę to nawet wyraźniej i ostrzej, niż ona widziała.

KRZYSZTOF

Nie mogę przejść poza ciebie. Człowieka nie kocha się za to,
że ma nawet „łatwy charakter”. W ogóle za co się kocha?
Za co ja ciebie kocham, Moniko? Nie każ mi odpowiadać.
Nie umiałbym odpowiedzieć. Miłość wyprzedza swój przedmiot
lub też tak się do niego przybliża, że prawie traci go z oczu.
Wówczas człowiek musi myśleć inaczej, musi odejść od zimnych rozważań
– a przy tym „myśleniu gorącym” jedno chyba jest ważne: czy tworzy?
Ale tego też raczej nie wie, skoro jest tak blisko przedmiotu.
Ważne będzie to, co zostaje, gdy fala wzruszeń opadnie.

To wszystko jest prawda, Moniko. I wiesz, czym najbardziej się cieszę?
Tym, że mamy jednak tyle prawdy, że jakoś swobodniej czytamy
w gęstwinie tych wszystkich uniesień sprawy zwyczajne.

3.

TERESA

Tego wieczoru musiałam zrozumieć, Andrzej, jak bardzo my wszyscy ciężymy nad ich losem.
Oto dziedzictwo Moniki: pęknięcie tamtej miłości

zatrzymało się w niej tak głęboko, że własna miłość
zaczyna się też od pęknięcia. Krzysztof próbuje goić.
W nim przetrwała miłość twoja ku mnie, lecz także twa nieobecność
– lęk miłości do nieobecnego. Lecz to nie jest nasza wina.

Staliśmy się dla nich progiem, poza który przechodzą z wysiłkiem,
by znaleźć się w nowych mieszkaniach – w mieszkaniach własnych dusz.
Dobrze chociaż, jeśli się nie potkną –
Żyjemy w nich bardzo długo.
Gdy dorastają nam w oczach, niby stają się niedostępni,
jak grunt nieprzepuszczalny, lecz już przedtem nabrali nas w siebie.
I chociaż zewnętrznie się zamkną,
wewnętrznie w nich zostajemy
i – straszno o tym pomyśleć – ich życie jakoś sprawdza
to, co było naszą twórczością, co było naszym cierpieniem
(jakże można inaczej o miłości mówić w czasie przeszłym).

Oto miejsce, na którym kiedyś staliśmy, tak jak oni
dziś stoją. Patrzyliśmy w witrynę tego dziwnego Sklepu.
Pewne prawdy jakoś nie mijają, powracają do ludzi wciąż.
Ta prawda, która przed laty przyoblekła się w nasze życie,
dziś przyoblekła się w ich – –

Muszę podejść do nich i powiedzieć:
dobry wieczór, Moniko, dobry wieczór, Krzysztofie
(pamiętam, jak kiedyś, Andrzeju, stanąłeś tutaj przy mnie,
jak dyskretnie: naprzód ujrzałam twoje oblicze w szybie,
a potem dopiero odczułam twoją obecność.
Andrzeju, nic nie minęło) –
Muszę więc podejść do nich i powiedzieć tak:
moje dzieci, nic nie minęło, człowiek musi powracać
w to miejsce, z którego wyrasta jego istnienie –
a jakże bardzo pragnie, by wyrastało przez miłość.

I wiem, że stary jubiler, który w dzisiejszy wieczór
jest także starszy o te dwadzieścia siedem lat,
patrzył na was tym samym wzrokiem, jakby sondował wam serca,
i określał nowy poziom istnienia przez te obrączki...
Czy w nich się rozmienia na drobne życie starego jubilera,
napełniając się życiem ludzi, życiem tyłu, tyłu ludzi.
Andrzej zabrał swoją obrączkę, z nią poległ,
ja dotąd noszę –

KRZYSZTOF

Kiedy wzięliśmy obrączki, czułem, że ręka Ci drżała...
Zapomnieliśmy zwrócić uwagę na twarz tego starego człowieka,
o którym mówiła mi mama: oczy jego mają wiele wyrażać.
To nie jest nasza wina, że niczego żeśmy nie wyczytali
w jego wzroku – mówił zaś niewiele i rzeczy skądinąd znane.
Więc nie dziw się temu, mamo, że jakoś minęły bez echa
(rzeczy skądinąd znane – nie odczuliśmy żadnej wielkości)
a drżenie rąk Moniki powiedziało mi znacznie więcej.
Byłem zupełnie przejęty jej wzruszeniem, a pośrednio moim
przeżyciem jej wzruszenia, bo odebrałem jej w pełni
– i zobaczyłem nas dwoje na dnie tych naszych przeżyć:
ja chyba bardzo ją kocham.

MONIKA

Byliśmy sobą zajęci – jakże się można było oderwać...
On nie uczynił niczego, by nas zafascynować...
po prostu zmierzył obwód palców naprzód, a później obrączek,
jak każdy zwyczajny rzemieślnik. Nie było w tym nawet artyzmu.
Nie przybliżył do nas niczego. Całe piękno zostało w uczuciu
naszym własnym. On nic nie rozszerzył ani nie ścieśnił
... pochłonięta byłam mą miłością – i niczym chyba więcej.

TERESA

Przeraziłam się tego jednak... Czyżby stary jubiler
już nie działał mocą swego wzroku i swego słowa?
Czy może oni nie byli zdolni odebrać tej mocy,

jaka kryła się w jego wejrzeniach i słowach? Byliżby inni?

Powiedziałam im „dzień dobry” i wkrótce rozmowa zeszała na temat ślubu. Monika zaraz wspomniała o swoich rodzicach. Byli oni nieobecni duchem. Miłość Moniki tworzyła się poza nimi, a nawet wbrew nim – tak ona mniemała. Ja jednakże wiem, że tworzyła się z tego podłoża, które oni w niej zostawili. –
Monika nie wstydziła się tego pęknięcia, które samo zrastało się w ich duszach, a w niej jeszcze miało swój pogłos.

Cóż budujecie, dzieci? Jaką spoistość będą miały te wasze uczucia poza treścią słów starego jubilera, w których przebiega sam pion każdego na świecie małżeństwa?

MONIKA

Myślę o moich rodzicach, myślę o moich rodzicach – bo oczywiście próbuję wyobrazić sobie, Krzysztofie, ten dzień naszego ślubu, bardzo często czynię takie próby. Są one chyba podobne do prób w teatrze: teatr mej wyobraźni i teatr mojej myśli. Ojciec będzie grał rolę ojca i rolę małżonka, a matka przyjmie tę rolę i do niej dostroi swoją. Mnie będą męczyć ich twarze...

Ach, kiedyż zaczniemy żyć życiem nareszcie własnym! I kiedyż wreszcie uwierzę, że ty nie jesteś jak ojciec! Kiedyż będziesz tylko Krzysztofem, wolnym od tamtych skojarzeń! Tak bardzo pragnę być twoja, a przeszkadza mi w tym nieustannie to tylko, że jestem sobą.

KRZYSZTOF

Dziwne były, moja droga mamo, dzieje tej naszej miłości z Moniką – którą musiałem zdobywać dla niej samej, a także dla jej rodziców (ci ostatni raczej mnie nie lubią, choć może jest trochę lepiej...), a jednak próbowałem wyobrazić sobie wraz z nią ich udział w naszym ślubie: przecież jest właśnie inaczej, niż myślisz, i będzie inaczej – ludzie mają swe głębie, nie tylko maski na twarzach. Cóż ty wiesz o głębi twej matki i ojca twojego, Stefana? Kiedy przyjdzie dzień naszego ślubu, wyjdiesz spomiędzy nich –
Ongiś małą dziewczynkę prowadzili oboje za rączki, a jeszcze dawniej byłaś niemowlęciem i ojciec twój wracał po pracy i pytał matki twej, Anny, czy przybrałaś na wadze, Moniko, i czy masz dobry apetyt, i cieszył się każdym gramem twojego małego ciała, cieszył się twoim snem, a później gaworzeniem – przy tym sam stawał się dzieckiem. To wszystko nie mogło minąć bez reszty.

Więc kiedy przyjdzie dzień naszego ślubu, ja zjawię się i zabiorę cię spomiędzy nich człowiekiem dojrzałym do bólu, do nowego bólu miłości, do bólu nowego rodzenia i wszyscy będziemy tak ogromnie radosni, i wszyscy staniemy na granicy tego, co się w ludzkim języku nazywa chyba „szczęściem”.

TERESA

Krzysztof, mój syn, jest dobry dla Moniki, jakby pragnął zastąpić jej ojca, którego sam nigdy nie znał, a ona w swoim mniemaniu tylko straciła – (przedziwny proces, Moniko: gdy ulatnia się z nas jakiś człowiek,

który jest, ulatnia się więc dlatego, że go nie zatrzymujemy –
– jeszcze dziwniejszy proces: gdy intuicją
tworzymy w sobie tego, którego nie ma.
Tak właśnie Krzysztof ciebie stworzył, Andrzeju,
chce jeszcze stworzyć w Monice jej rodziców: Stefana i Annę).

4.

TERESA

Gdy nadszedł dzień ich ślubu, rodzice byli oboje
i Monika stała wśród nich ubrana w białą suknię.
A Krzysztof szedł obok mnie, ojca zastąpił mu Adam.

Adam był tym człowiekiem, co ostatni widział Andrzeja.
Byli razem w tej samej kompanii. Gdy wrócił z frontu,
odwiedził mnie natychmiast i powtarzał różne jego słowa.
Może nawet przejmą w swe serce coś z tych wielkich miłości Andrzeja,
bo bardzo pokochał Krzysztofa, który też się do niego przywiązał.
Zastawaliśmy ich nieraz w mieszkaniu, wiedli z sobą żarliwe rozmowy.
Adam nie szczędził czasu, zastępował chłopakowi ojca.

Byłam nawet trochę niespokojna, że może myśli o mnie
i poprosi mnie kiedyś o rękę. Lecz razu pewnego powiedział:
„ja jestem chyba po to, by na miejscu każdego człowieka
podejmować dalszy jego los, bo wcześniejszy też we mnie się zaczął” – –
Nie pojęłam zupełnie tych słów, lecz to wiem, że odtąd się stałam
najzupełniej spokojna – –

Byliśmy teraz tak bardzo odświętni i Monika wyglądała ślicznie,
a Krzysztof z lekka przybladł. Szli z wolna naprzeciw siebie.
Potem Krzysztof ujął ją pod rękę i zaczęli iść przodem.
(Sklep jubilera został za plecami o pół obrotu w prawo.
Młodzi jeszcze zmienili obrączki – i stąd poszli wzięwszy się za ręce.
My pozostaliśmy w tyle...)

Pamiętam – okno tego sklepu niegdyś stało się dziwnym zwierciadłem,
chlonoło naszą przyszłość aż do tego momentu, w którym
zaczynała się tajemnica. Tajemnica czy niewiadoma?
Nam wystarczyło tyle. Miłość była silniejsza od lęku.
A oni dziś poszli przed siebie. Nie spojrzeli na swoje odbicie
w zwierciadle tej dziwnej szyby, nie sondowali przyszłości.
Tajemnica czy niewiadoma zacznie się dla nich od razu?
Idąc Krzysztof przygarnął jej ramię. Chciał przetworzyć wspomnienia rodziców.

5.

Oni tu pozostali, ja z Adamem. Czyż miałam sprawdzać intuicję mojego Krzysztofa?

ANNA

Nie przypuszczałam tego nigdy, że spotkam cię tutaj, Adamie.
A może nawet teraz obco brzmi to imię w mych ustach.
Pamiętasz: wtedy niespodziewanie zaczęłaś ze mną rozmowę
właśnie tu –
mówiłeś do mnie: tą ulicą przejdzie Oblubieniec...
Czekałam płacząc się chwilę wśród dziewcząt, co usypiały,
gdy inne niosły lampiony i szły naprzeciw niego.
Więc poszłam z nimi. Gdy nadszedł, spojrzałam mu z bliska w twarz.
To było oblicze Stefana. Chciałam natychmiast uciekać.

Czy myślisz, że pogodziłam się z tym do dzisiaj?
Poczucie dysproporcji nie zanikło me mnie bez reszty.
Nie mogłam, nie mogę przybliżyć obu tych twarzy,
nie mogę ich utożsamić.

Dawna dziewczęca miłość do tego człowieka wygasła
jak źródło, które nie może powtórnie wytrysnąć z ziemi.
Próbowałam jednak uwierzyć i w niego, i w jakiś ład,
w jakiś porządek wszystkiego, także i mego życia.
Poza tym – przestałam nim gardzić, przestałam żywić żal,
ten straszny żal o życie, które on mi właśnie zmarnował.
Zaczęłam szukać winy także i w sobie. Była.
Nie przecinałam rozmów. Nie milczałam po to, aby miażdżyć.

Czy on się zmienił – nie wiem. Stał się jednak mnie uciążliwy. Jemu także łatwiej było odtąd znosić chyba moją obecność. Przestaliśmy się może od siebie oddalać w tym przyspieszeniu, w jakim to przedtem szło. Teraz jakby stało w miejscu. Czy żyjemy sobą? Chyba nie. Prędzej może żyjemy dziećmi. Monika jest najtrudniejsza, w niej też zburzyliśmy najwięcej. Teraz odchodzi od nas. Myślę, że może zbyt wcześnie – i zabiera z sobą przeświadczenie o winie własnych rodziców (chyba nawet przez to nas krzywdzi).

Że musiał mieć twarz Stefana Oblubieniec – to już rozumiem. Lecz zostałam jedną z panien głupich, której zabrakło oliwy – i latarnia pali się mizernie, zużywając przy tym prawie każde włókno mej duszy.

ADAM

Widziałem znów tego wieczoru Annę. Po tylu latach spotkanie z Oblubieńcem było dla niej żywe. Anna weszła na drogę miłości dopełniającej. Trzeba było dopełnić dając i przyjmując w innych proporcjach niż przedtem. Przesilenie nastąpiło właśnie owego wieczoru przed laty. Wtedy wszystko groziło rozbięciem. Nowa miłość mogła się zacząć tylko od spotkania z Oblubieńcem. To, co z niej Anna odczuła, to zrazu było tylko cierpienie. Zbiegiem czasu przyszło stopniowe uspokojenie. To zaś, co narastało, wciąż jeszcze było trudno uchwytne, a przede wszystkim nie posiadało żadnego „smaku” miłości. Kiedyś nauczą się może oboje smakować w tym nowym... W każdym razie Anna jest bliższa tego niż Stefan.

Przyczyna leży w przeszłości. Tam zwyczajnie tkwi błąd. Chodzi o to, że porywa ludzi jak *absolut* miłość, której brak absolutnych wymiarów. Oni zaś, kierując się złudzeniem, nie usiłują zacząć tej miłości o Miłość, która ma taki wymiar. Nie podejrzewają nawet tej potrzeby, bo ich zaślepią nie tyle siła uczucia – ślepi są raczej przez brak pokory. Jest to brak pokory wobec tego, czym miłość być musi w swej prawdziwej istocie. Im bardziej są tego świadomi, tym mniejsze niebezpieczeństwo. W przeciwnym razie jest ono wielkie: miłość nie wytrzymuje ciśnienia całej rzeczywistości.

Ach, jakże mi było żal Anny w ów wieczór przed laty, jakże mi było żal Stefana. Mieli już troje dzieci, które zaczynały dorastać (najmocniej wszystko odczuła Monika). Było mi ich wtedy straszliwie żal – o wiele bardziej nawet niż Andrzeja, gdy żegnał się ze mną na froncie odchodząc na swoją pozycję; mówił wtedy „nie wróć”. Pozostało mi tylko przynieść tę wiadomość wdowie i sierocie. Staralem się, jak mogłem, zastąpić Krzysztofowi ojca, za którego nie było mi dane poleć.

Czasem ludzkie istnienie wydaje się za krótkie dla miłości. Kiedy indziej jest jednak odwrotnie: miłość ludzka wydaje się za krótka w stosunku do istnienia – a może raczej za płytka. W każdym razie każdy człowiek ma do dyspozycji jakieś istnienie i jakąś miłość – jak z tego uczynić sensowny całokształt?

Poza tym całokształt ów nie może być nigdy zamknięty w sobie. Musi być otwarty w ten sposób, by z jednej strony przenosił się na innych ludzi, a z drugiej – żeby zawsze odzwierciedlał absolutne Istnienie i Miłość, by je zawsze w jakiś sposób odzwierciedlał.

To już jest sens ostateczny waszych losów:

Tereso!
Andrzeju!
Anno!
Stefanie!

i waszych:

Moniko!
Krzysztofie!

TERESA

Adam wymienił nas po kolei. Swoje imię zamilczał.

Był jakby wspólnym mianownikiem nas wszystkich, a zarazem rzecznikiem i sędzią.

Cicho jakoś powierzaliśmy sobie jego myśli, jego analizy i sercu.

To wszystko – co było i przeszło lub przechodziło z wolna w jakiś inny całokształt.

Trudno było oderwać się myślą i sercem od młodych:

Monika i Krzysztof znowu odzwierciedlają w jakiś sposób absolutne Istnienie i Miłość.

W jaki sposób? Oto jest pytanie, którego nie można postawić do końca.

(Nie było już nawet zwierciadła, w którym kiedyś oboje z Andrzejem ujrzeliśmy przyszłość najbliższą.)

Ach, jubiler już zamknął swój sklep. A oni oboje odeszli.

Czy choć wiedzą, co odzwierciedlają? Czy nie trzeba za nimi pójść?

W końcu jednak mają swoje myśli...

Wrócą tu, z pewnością powrócą. Poszli tylko na chwilę rozważyć:

przecież stworzyć coś, co odzwierciedla absolutne Istnienie i Miłość, to jest chyba najwspanialsza rzecz!

Ale żyje się o tym nie wiedząc.

STEFAN

Ja też raczej nie wiedziałem, o czym mówił Adam, a potem Teresa, matka Krzysztofa. Jeszcze przedtem Anna jakby spowiadała się wobec Adama z wielu ostatnich lat swego życia. Gdy skończyła mówić o Oblubieńcu, który „musiał mieć” moje oblicze, zaraz nawiązała do Moniki. To jedno zrozumiałem najlepiej: Monika chce odejść od nas za wszelką cenę – dlaczego, dlaczego?

Ja stanowczo nie rozumiem, co to znaczy „odzwierciedlać absolutne Istnienie i Miłość” – ale jeśli Monika chce tak bardzo od nas odejść, to wiem na pewno, że właśnie dlatego: my oboje, Anna i ja, bardzo źle je odzwierciedlamy. To rozumiem jasno, to mnie także jakoś zabolalo.

W tym momencie też – po raz pierwszy od wielu lat – odczułem potrzebę powiedzenia czegoś takiego, w czym otworzy się cała moja dusza, powiedzenia tego właśnie do Anny (było to jakby próba samooskarżenia, a może jeszcze bardziej próba rozłożenia winy na nas dwoje --)

W każdym razie podszedłem do niej i położyłem jej na ramieniu rękę (czego nie uczyniłem już dawno, dawno). Powiedziałem przy tym takie słowa:

Jaka szkoda, żeśmy od tylu lat nie czuli się dwojgiem dzieci.

Anno, Anno, jak wiele straciliśmy przez to!

[1960]